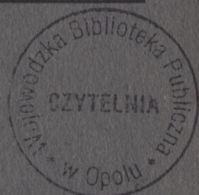


ORLETA



Mal. St. Tondos

Św. Stanisław na Skalce w Krakowie.

Kolekcja

Nr 4.

Ilustrowany dwutygodnik dla młodzieży

Rok I.

Cena egz. 25 gr.

W PARU WIERSZACH.

Z wiosennym powiewem ciepła, w blaskach złotych promieni słońca, rozkwitła nasza ziemia tysiącem precudnych barw i zieleni. Pęki kwiatów rozlały w przestrzeń rozkoszną woń, która napęliła radością każde młode życie, a najwięcej serca polskie, bo znów witamy ukochany *3 Maj*—dzień najpiękniejszego święta na świecie, bo dzień wyzwolenia Ducha Narodu z ciemności i niemocy. Święto 3 Maja jest dla nas najmiłszym i najdroższym i czcimy je prawdziwie po polsku, najpiękniejszym zwyczajem, bo oszczędnością i składaniem drobnych datków na *Dar Narodowy*. Pragniemy tylko, by ten zwyczaj stał się powszechnym, by każdy Polak, każde dziecko mogło go spełniać bez zbytniego poświęcenia i bez żadnej straty dla siebie. Widzimy wiele biedy wśród ludzi i sami ciągle narzekamy na brak pieniędzy, a jednak na niepotrzebne i szkodliwe rzeczy wyrzucamy ogromny majątek. W ubiegłym roku to jest 1926 ludność Polski wypila trunków alkoholowych za 800 milionów zł. Tak wielką sumę pieniędzy wyrzuciliśmy lekkomyślnie i marnie, żeby truć własne organizmy, niszczyć zdrowie i odbierać sobie chęć do twórczej i radosnej pracy, bez której kraj nasz ubożeje. Pomyślmy jaki to byłby piękny *Dar Narodowy*, gdyby te pieniądze zostały zaoszczędzone; ile moglibyśmy okrętów kupić, ile dróg kolejowych wybudować przy których rzesze ludzi znalazłoby pracę i niejedna iza zostałaby obtarta.

Przez pamięć dla wielkich ojców, twórców Konstytucji 3 Maja nie wolno nam wydawać ani grosza nie tylko na alkohol, ale na łakocie i różne niepotrzebne przyjemności, które czynią nas żebrakami. Pamiętajmy, że najchwałebniejszym *Darem Narodowym* będzie oszczędność i trzeźwość całego narodu. Zostańmy od wczesnych wiosen naszego życia aż na zawsze trzeźwi i oszczędni, a uczynimy najmiłszy, królewski dar—Ojczyźnie.

Z NASZEGO MORZA.

Z braku dostatecznej, własnej floty handlowej Polska zmuszona jest wynajmować obce statki do przewożenia towarów sprowadzanych lub wywożonych zagranicę. Za przewóz tych towarów Polska płaci co miesiąc około 200—300 milionów zł. Jest to bardzo poważna strata, która powinna nas zachęcać do większego zainteresowania się morzem oraz do wysiłków nad budowaniem potężnej, polskiej floty.

W Gdyni zawiązał się komitet urządzenia domu-ogniska dla marynarzy polskich okrętów handlowych. Społeczeństwo tamtejsze pragnie, marynarzom okrętów zawijających do ojczyńskiego portu, dać serdeczny i ciepły kąpiel, w którym mogliby po trudach podróży, chwilę wypocząć. Całe społeczeństwo polskie powinno okazać jak najwięcej przychylności odważnym żeglarzom, którzy polską barwę śmiało niosą w świat.

POLACY NA OBCYZIENIE.

W Rumunii, w okręgu galackim wyróżniają się trzy miasta, w których przebywa znaczniejsza liczba obywateli polskich, a to: Galac, Braila i Jassy.

Łącznie z wychodźstwem liczba Polaków wynosi około 4000 osób.

Na terenie okręgu istniała do końca 1922 r. mała szkółka, w Negulesti przy tamtejszej fabryce szkła. Do szkółki tej uczęszczało około 60 dzieci obojga płci. Nauka odbywała się trzy razy dziennie: przed południem i po południu dla dzieci, a wieczorem dla dorosłych.

Stosunek władz rumuńskich do naszego wychodźstwa, naogół biorąc, jest dość poprawny, co w głównej mierze zawdzięczać należy politycznym stosunkom, łączącym Polskę z Rumunją.

Z LOTNICTWA.

W ostatnich tygodniach Zakłady Junkersa wykończyły nowy typ samolotu komunikacyjnego. Samolot ten o nazwie „G 31“ sporządzony cały z metalu jest jednopłatowcem o olbrzymich rozmiarach. Rozpiętość skrzydeł wynosi 30 metr. długość 14, wysokość 4,3 mtr. Samolot posiada 3 silniki 6-cio cylindrowe po 350 Mk. każdy. Poza środkowym silnikiem znajdują się dwa siedzenia dla pilotów, poza nimi zaś kajuta maszyn z urządzeniem radiowym, sygnalizacyjnym i t. d. stamtąd prowadzą drzwi do kajuty pasażerskiej, posiadającej 2 metr. długości, podzielonej na 3 oddziały (dla palących, niepalących i kobiet). Kajuta pasażerska posiada 25 miejsc siedzących, które można zamienić w 10 wygodnych łóżek. Za kajutą pasażerską mieści się umywalnia, obok zaś biegną kajuty dla bagażu podróжного, pocztu i towarów. Między kajutą pasażerską a towarową umieszczono w oddzielnym korytarzu przewody do sterów, które dzięki temu mogą być łatwo kontrolowane. Próbné loty wydały pomyślne rezultaty i fabryka buduje obecnie drugi podobny kolos powietrzny.

NOWINY SPORTOWE.

We środę 20. IV. odbyły się w Rzymie międzynarodowe zawody lekkoatletyczne między reprezentacjami Włoch i Polski. Polski Związek Lekkoatletyczny wystawił najlepszych zawodników. W ogólności zawody te zakończyły się przegraną Polski. Drugie zawody polskiej drużyny we Florencji przyniosły nam zdecydowane zwycięstwo. Przyjęcie polskich zawodników przez Związek Włoski było nader serdeczne i życzliwe.

W niedzielę 24. IV. r. b. zmierzyła się polska drużyna szermiercza z taką drużyną czeską w Pradze. Czesi znali są w całym świecie jako dobrzy szermierze, dlatego też sukces drużyny polskiej nabiera wielkiego znaczenia.

I. V. 1927 odbędą się w Bytomiu reprezentacyjne zawody w piłce nożnej między wybrańcami Górnego Śląska, a najlepszymi piłkarzami niemieckimi ze Śląska będącego pod zaborem. Polska drużyna składa się z graczy klubów nie-ligowych, ale za to z samych Polaków i będzie musiała dołożyć wielkich starań, aby za wszelką cenę wywalczyć Polsce zwycięstwo. A my wierzymy, iż godnie będą bronili polskich barw, przynosząc tem otuchę braciom z kordonu.

Dwutygodnik
ilustrowany

ORLETA

dla młodzieży
polskiej

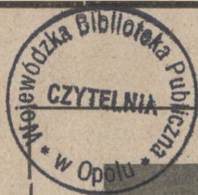
NUMER 4.



KATOWICE, DN. 1-GO MAJA 1927 R.



ROK I.



**Kolekcja
Emilia Kornasia**

Strzeżcie się grzechu narzekania i wątpienia.
A. Mickiewicz



1926. *J. J. Boguski*

Prof. Józef Jerzy Boguski

Dr. WŁADYSŁAW NATANSON
Prof. Uniw. Jagiell.

Prof. J. J. BOGUSKIEMU W ROKU ZŁOTYCH JEGO Z NAUKA GODÓW.

Gdy biorę w tej chwili pióro do ręki, myśl cofa się mimowoli o blisko pół wieku, czarodziejska moc wspomnień, jedynej rozrywki starości, przenosi mnie do rodzinnej Warszawy, do jesiennych dni roku 1879-go; pamiętam i nieomal przyglądać się mogę, jak porą wieczorną, w gimnazjalnym mundurku, biegłem ulicą Miodową ku placowi Krasińskich, biegłem zgadując, co dzisiaj usłyszę, wyobrażając sobie doświadczenia, które dziś wykonane zostaną. Przy placu Krasińskich, w jakowemś niegdyś zapewne pańskim mieszkaniu, mieściło się Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, od niedawna wówczas w Warszawie istniejące; pod egidą tej Instytucji, kilku zacnych i rozumnych ludzi, kryjąc starannie cele swe prawdziwe przed podejrzliwym wzrokiem rosyjskiego dozorca, usiłowało szerzyć wiedzę w społeczeństwie, krzewić w niem obyczaj, budzić i krzepić w niem ducha. W jesieni 1879-go roku toczyły się w Muzeum dwa naprzemian biegnące, dwa równoległe wykłady fizyki popularnej. Jednemu kursowi przewodniczył Eugenjusz Dziewulski, mówca już wówczas wytrawny, nauczyciel już doświadczony; ofiarowywał słuchaczom pracę wykończoną, wytworną. Drugim prelegentem był człowiek wówczas bardzo jeszcze młody; jego oblicze ruhiawe i pociągające, jego głos miły, jego bystre i przenikliwe spojrzenie, jego mowa wartka i pełna zapału musiały zjednać uwagę i sympatię każdego słuchacza. Tym drugim nauczycielem publicznym był zachy i drogi Jubilat, któremu pragniemy okazać dzisiaj słuszną wdzięczność i cześć zasłużoną; był nim profesor Józef Jerzy Boguski.

Biegłem ochotczo na wykłady prof. J. J. Boguskiego; biegłem rozradowany młodością, budzącą się falą myśli szczęśliwy, przepełniony uczuciem najlepszym dla nauczyciela. Do dziś dnia mam w pamięci nieokiełznany jego pęd naprzód, impet, który rozsadał konwencjonalny zakres i ustrój popularnego wykładu. Jakim Go wówczas poznałem, pozostał nazawsze. Zawsze rwał ramy, nie cenil systematów

ani systematyczności, rozsypywał przebłyski nagłe, akcenty niecierpliwe, popadał w uskoki nieoczekiwane i boczne lecz bujne i hojne, lecz świeże i szczerze; zachęcał, zaciekawiał, zagrzewał wiarą w moc ducha ludzkiego, budził cześć dla wysiłku pokoleń i natchnienia genjuszu, entuzjazmem porywał, serca w górę podnosił, przywiązanie jednał Sobie trwałe i czyste.

Nauczajcie miłości i wiary, wy, którzy uczycie! Uczcie czci prawdy, miłości wyższych upragnień, wiary w moc pracy i woli! Nieszczęsny, kto w młodości nie napotkał szlachetnego umysłu na drodze żywota; niegodny szczęścia, kto nie zadrżał pod technieniem z ponad ziemi idącym.

Przeskakuję ośm lat mgłą zasnutą przeszłości; odnajduję w pamięci obraz starej, zatęchłej rudery, oficynki, stojącej w podwórzku przy ulicy Krakowskiego Przedmieścia; tam, w przyziemnem, nieomal piwnicznym piętérku mieściła się Pracownia Fizyczna Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, w ciągu lat 1886—87 utworzona. Wąski korytarzyk biegł wzdłuż trzech ciasnych, ciemnych, wilgotnych pokoiów; w kilku szafach, na paru stołach znajdowało się trochę narzędzi, nieco wcale dobrych przyrządów. Ubogie owe izdebki stokroć były mi miłsze niż zagraniczne pałace nauki; zawierała się w nich nasza własna, polska naukowa pracownia; ognisk naszej pracy badawczej było wówczas w Warszawie, niestety, tak mało! Kierownikiem i przodownikiem tej pracowni, jej opiekunem, sprężyną i duszą był profesor J. J. Boguski. Znowu tam uczył, w krainie poszukiwania prowadził, znów dopomagał, życzliwy szczerem chęciom, wyrozumiały dla niedoświadczenia, dla wszystkich dobry, serdeczny, pocztliwy; znowu tam się rzucał szlachetny, odwołując od przygnębienia, dźwigając nadzieję, krzepiąc przyjaźnią, otwierając duszę gorąco, podniosłą.

Okazujmy młodym życzliwość! Wyciągajmy dłoń pomocną za nami idącym! Wiedza jest tak rozległa, nauka najeżona tyłu przeciwnościami. Błąd taki łatwy, cel wysiłku zawsze daleki i mglisty. Tak

śliskie są pierwsze kroki młodości, chwiejne, niezaprawione, wpółwłasne. Przyszłość taka nieprzenikniona, niejednokrotnie, zda się, ponura. Siły ludzkie takie mdle i zawodne, życie tak łatwo popada w niedolę. Szlachetne dusze bywają lękliwe, ku sobie nieufne, obawiają się niekiedy przesadnie grzechu natarczywości i śmiesznego zarozumienia. Czyste dusze bywają zamknięte, zarazem nieśmiałe i dumne, względem siebie okrutne, wobec ludzi wyniosłe. Ileż radości wyrządzić możemy słowem przyjaznem, jak wiele dobrego sprawia nieraz drobny, ale serdeczny postęppek.

Od lat czterdziestu wolno mi jest cieszyć się przyjaźnią i zaufaniem badacza, nauczyciela, pracownika i obywatela, któremu tutaj kilka słów, zbyt słabych i zbyt dorywczych, poświęcam. Od czterdziestu lat wiem, jak mocno wierzy Boguski

w posłannictwo nauki, jak cześci mądrość i zdolność, jak wielbi w duszy triumfy intelektualnego mozółu. *„Lepsza jest mądrość niżli siły“* powiedziano jest w Piśmie Świętem; *„słuchaycież przeło królowie y rozumieycie a nauczcie się sędziowie kończyn ziemie; nadstawcie uszu, którzy władniecie ludem, y podobacie się sobie“*,

Profesor J. J. Boguski pięknie zasilił naukę powszechną; szczerze wzbogacił polską oświatę i wiedzę. Dzisiaj służy, z młodzieńczym zapałem, dobru Wojska Polskiego, tej ręką, osłonie i tarczy naszego państwowego istnienia. Od lat przeszło czterdziestu widzę, pojmuję, odczuwam, jak gorąco ukochał najlepszą myśl polską, pierwiastki w niej najszlachetniejsze, dążenia najczystsze; jak polskiej służbie, dla Polski, trud i znój życia rodośnie poświęca.



Krajobraz poleski.

H. ROMER

TRZECI MAJ JÓZEFOWEJ.

Było to w Wilnie za okupacji niemieckiej, w roku 1916. W Warszawie na dzień 3-go Maja urządzono olbrzymi pochód Narodowy. Tłumy niezmiernie szły ulicami, pierwszy raz od bardzo wielu lat. Bo rząd rosyjski nie tylko nie pozwalał dnia tego obchodzić, ale puszczał kozaków na młodzież śpiewającą pieśni narodowe i ci dzicy ludzie siekali nahałami kogo dopadli. A teraz Niemcy jakoś nie sprzeciwiali się temu obchodowi i Warszawa dumnie i hardo o wolności swojej dnia tego śpiewała, jak przystało stolicy Polski. Niezmiernie tłumy ludzi szły w piękny, słoneczny dzień przez całe miasto, pochodem dostojnym i pełnym powagi. Szły delegacje wszystkich stowarzyszeń. Szły szkoły, szli żydzi, sunęły wolno grupy z ziem Rzeczypospolitej, barwne wielkie sztandary łopotały nad głowami idących i sztandar Wielkiego Księstwa Litewskiego płynął z innemi po ulicach stolicy Polski.

Wielu ludzi płakało. Starzy powtarzali: „doczekaliśmy“ i wierzyć oczom swoim nie chcieli, młodzi śmiali się dumnie i mówili: „to nie taki pochód, będzie jeszcze lepszy, jak my zdobędziemy wolność Ojczyzny, jak żadnego wroga tu nie będzie“.

I śpiewali wszyscy pieśni stare, te, za które Rosjanie katowali młodzież naszą i te nowe co przyleciały od Krakowa, z którymi mieli iść, mieli walczyć o wolność, jak ojcowie i dziady. Ludziom się zdawało, że zaczynają się dziać wielkie cuda.

Ale w Wilnie było inaczej. Tak jak Rosjanie, tak i Niemcy nie chcieli dopuścić do żadnej łączności, do żadnego braterstwa między Litwą i Polską, między Wilnem a Warszawą. A właśnie ten dzień wszystkim przypominał, że oba te kraje, obie te stolice były przez 500 lat, jak dwie kochające się siostry, co się razem radują i razem smucą, wspomagają się w biedzie i triumfują w zwycięstwie. I teraz ludność Wilna chciała, żeby tak było.

Ale cóż miała robić, kiedy ten nowy wróg był też silniejszy od nas? Wilnianie są wytrzymali i cierpliwi, dużo umieją zniesć w cichości, awantur nie wyprawiają, ale swojego nie zapominają. Co my tutaj raz pokochamy — to na wieki. Kochaliśmy Polskę w Litwie od wieków i tego żadne wrogi, żadni źli ludzie nie sprawią, żeby miała być inaczej.

Więc kiedy Niemcy kazali, żeby kościół w ten dzień by-

ły zamknięte i, broń Boże, żadnych nabożeństw, ani śpiewów nie było, rozeszliśmy się do domów. Śmieliśmy się! Tak dobrze wiedzieliśmy, że te głupie zakazy nam nie zaszkodzą. Im więcej kto jest prześladowany, za swoją miłość do Ojczyzny, do swego języka, czy wiary, tem goręcej i wierniej je kocha.

Tak z nami było od 125 lat. A teraz

wiedzieliśmy wszyscy, że zbliża się godzina wyzwolenia, że przepowiedana przez naszych poetów i proroków: Wielka wojna ludów, wyzwoli Polskę i Litwę.

Ale cóż mieliśmy robić w ten dzień 3-go Maja



Orzeł ze srebra wykuty w kaplicy Zygmuntońskiej.



Orzeł z nagrobka Wład. Jagiełły.



Pogoń z nagrobka Wład. Jagiełły.

1916 roku. Były różne odczyty w mieście o Konstytucji, były wieczorki deklamacyjne, a na ulicach sprzedawało się na oświatę polską nalepki na okna, czerwone z Białym Orłem w środku.

Przychodzimy z temi obrazkami do jednej wielkiej kamienicy, która na trzy ulice wychodziła. Ale właściciel ani słyszeć nie chce o nalepkach. Boi się „Niemcy“, powiada „przyczepią się: kary każą płacić, do obozu jeńców wywiozą, zaaresztują“. Nie, to nie, gwałtem nic niczego nie nauczył drugiego. Wychodzimy stamtąd trochę smutni, aż tu stróżówka tej kamienicy, Józefowa, wdowa z małemi dziećmi, mieszkająca w wilgotnej suterynie, podbiega do nas i do nóg się rzuca.

„Ach, panienczki moje, dajcie mnie taki obrazek polski, niech ja na swoich niskich okienkach nakleję, niech widzą, że i ja Polskę kocham i chcę żeby tu do nas przysła.“

„A jak Niemcy zaczną dręczyć za to, każą karę płacić, łajać?“ — ostrzegamy. „Niechaj sobie“ powiada Józefoweczka, „nie zjedzą“, a pokrzyczą, czy szturchną, to co? Dla Polski kochanej nie szkoda cierpieć“.

„Moja droga Józefowo, cierpiałaś ty od ruskich za to, że dzieci do tajnej polskiej szkółki posyłałaś, a teraz do Niemców“ ..

„Aj, to nie, panienczko moja, nie bójś, i ten wyjdzie i co powiem, obaczysz jeden drugiego tak daleko przegna, że żaden tu nie wróci.“ Niechże Bóg da, by twoje słowa się sprawdziły.“

Dałyśmy jej nalepek ile chciała, i przez cały dzień chodziła sobie nasza Józefoweczka koło swej suteryny, spoglądając z dumą na okienka świecące Białym Orłem, a nad niemi puste i nudne brzydko wyglądały okna tchórzliwego właściciela kamienicy.



MARJA GERSON-DĄBROWSKA

ZACISZNE WNEŹRZA.

Mamy tu przed sobą dwa obrazy, dwa zaciszne wnętrza. Kto je malował —nie wiem, zresztą wszystko jedno. Postaramy się i tak odczytać je razem, czytelnicy.

Więc najprzód w obydwóch jak dobrze widać głąb, przestrzeń, zdaje się, że moglibyśmy tam wejść i zasiąść na fotelach. Jak ładnie i prawdziwie wlewa się przez okna światło dnia, jak błyszczy posadzka, jak w mrokach toną dalsze części pokoi. Dobry rysownik i dobry malarz stworzył te dwa obrazy.

A teraz czytamy dalej. Czy do jednej i tej samej epoki należą oba wnętrza? O nie, bynajmniej! — Oto sufit pokryty

ozdobnem belkowaniem, złożonem w kwadraty, oto okno osadzone głęboko w grubych murach, a wysoko, że aż po schodkach spinać się do niego trzeba. Drobnie szybki w oknach, prosty, ciężki stół, jakieś dziwne z wysoką poręczą krzesło. To nie pokój, to jakaś komnata w pałacu lub zamku z przed jakichś trzystu laty i gdybyśmy na tem tle chcieli jakąś postać umieścić byłaby to może jakaś kasztelan-ka haftująca w krosnach desień złotolity, może rycerz w zbroi, może złotowłose pacholę w barwnych szatach.

A drugi obrazek? O takie wnętrza znamy wszyscy. Fortepian, bilard, okno o dużych szybach, fotele wyściełane. To



już wewnątrz z przed lat kilkudziesięciu, a może i dzisiejsze nawet, gdzieś z wielkiego dworu lub małego miasteczka, gdzie niema jeszcze elektryczności, tylko kandelabr na stole ze świecami, zapalonymi gdy goście przyjdą wieczorem.

Takie żywe wnętrza i całą historję, można sobie z nich wysnuć, wyczarować o tych, którzy je kiedyś zamieszkiwali. To się nazywa — mową martwych przedmiotów.

Pomiędzy polskimi malarzami dawniejszych czasów mieliśmy dwóch takich czarodziejów, a byli nimi — Marcin Zaleski urodzony w roku 1796 i młodszy od niego Aleksander Gryglewski ur. w r. 1833.

— Pozostało po nich mnóstwo obrazów, wewnątrz kościelnych, gdzie zdaje się, że czuć jeszcze zapach kadzidła, że słyszać szmer cichej

modlitwy; salonów, buduarów, gdzie zdaje się, iż nie umilkł jeszcze szelest szerokiego ubioru pudrowanej damy, że jeszcze chwieją się wyzłacane drzwi — poruszone ręką wąsatego kontuszwowca. O jednym z obrazów Gryglewskiego przedstawiającym wewnątrz jednej z sal wilańskiego pałacu, tak pisze znany krytyk sztuki: „w powietrzu jakby drgały z przed dwu wieków słabe brzęki karabeli Jana III po posadźce stukającej i odgłos jego ciężkiego, potężnego kroku“.

Z późniejszych artystów jakże cudnie wnętrza maluje Aleksander Gierymski, a z obecnych Żukowski, którego wystawę niedawno oglądaliśmy w Warszawie.

Wszyscy oni umieli odszukać żywą duszę, w martwych pozornie formach.



EDWARD KLONIECKI

MAJ!...

Hej! a toć to ci już wiosna!
i kwiecisty maj
porozstawiał barwne krosna —
i rozbrzmiewa pieśń radosna
śróđ zielonych staj
dokoła
śróđ zielonych staj!...

Kędy spojrzysz, w każdej stronie,
jak szeroki świat —
každy sadek w bieli tonie!
i wydycha słodkie wonie
każdziusienki kwiat
w opłotkach,
każdziusienki kwiat!...

HELENA WITKOWSKA

KALNDARZYK INSTYTUTU NAUKOWEJ ORGANIZACJI NA R. 1927.

W 1925 roku powstał w Warszawie Instytut Naukowej Organizacji. Na czele jego stoi profesor politechniki, Karol Adamiecki, który na wiele lat przed amerykańskim Taylorem, w pismach swych głosił zasady, znane dziś w całym świecie pod nazwą Tayloryzmu, a zdążające do podniesienia wydajności pracy i usuwania marnotrawstwa środków wytwórczych we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego.

Instytut wydał na rok 1927 ciekawy kalendarzyk¹⁾ znaleźć w nim można wiele cennych uwag i wskazówek, do których warto życie swe przystosować. Przez odpowiednio przygotowane wykresy, pomaga kalendarzyk do kontrolowania użytku czasu w każdym dniu, tygodniu i miesiącu. Ktoby codziennie zechciał zaznaczyć w nim czas pożytecznie spędzony, temu łatwo potem będzie, jednym rzutem oka stwierdzić sumę dokonanej pracy, a także ilość straconych godzin. Kontrola, taka pomoc może, do unikania na przyszłość straty czasu, która to strata jest „największym marnotrawstwem bogactw“.

Kalendarzyk stwierdza, że rok składa się z 8,760 godzin lub 525,600 minut. Po odliczeniu połowy na odpoczynek i pożywienie, ma każdy z nas rocznie do rozporządzenia 3.380 godzin lub 262.800 minut. Każdemu wypadnie kiedyś, w dniu ostatnim zapytać, w duchu słów modlitwy Kammeraha „O Pannie, cóż uczyniłem z sześciuset tysiącami godzin życia, które dałeś mi na świecie, zrodzonym ze słońca“?

Każdy miesiąc w kalendarzyku opatrzony jest sentencją, nad którą warto się zastanowić. Tak np. „Żaden człowiek nie potrafi do brze wykonać swego zadania, jeśli go przedtem nie umiłuje“ (luty). „Tylko praca wydajna prowadzi do dobrobytu“ (marzec). „Człowiek bez dyscypliny jest anarchista — organizacja wówczas zanika, a społeczeństwo staje się tłumem“ (wrzesień). „Dajcie nam czas

marnotrawiony — podnieśmy dobrobyt ludzkości“ (grudzień). Są także na każdy miesiąc zadania, jak np. „Sumą czasu straconego w złp“ (styczeń). „Bez planu — nie przystępuj do wykonania“ (marzec). „Oblicz czas stracony — w procentach“ (maj). „Porównywyj wynik z tem co powinno być, a nie z tem co było“ (czerwiec). „Nie trać czasu na pracę, którą maszyna może wykonać lepiej“ (wrzesień). „Wydajność = $\frac{\text{Wynik użyteczny}}{\text{Nakład pracy}} = \dots\dots\dots\%$ “ (listopad).

Kalendarzyk poświęca wiele uwag zagadnieniu *wartości czasu* — czas pędzi nieubłagane i sam od nas ucieka — czas stracony przepada bezpowrotnie. Podaje też następujące zasady organizacji:

Zbadaj najpierw co masz uczynić (Analiza) Potem ułóż rozkład twych zajęć (Plan). Wykonaj podług tego rozkładu (Wykonanie). Sprawdź wykonanie z rozkładem (Kontrola).

Nie brak w kalendarzyku mądrych zdań obcych i naszych myślicieli. I tak amerykański Emerson pisze: „Polska miała przeszłość pełną przejść i chwały, jej zagadnienia obecne są niezmiernie wagi. — A jakąż będzie jej przyszłość?... Jak obecnie ma żyć każdy Polak, aby przyszłość Polski była wielka? W jaki sposób każdy Polak użyje danych mu godzin życia? Oto jedno z najważniejszych zagadnień Polski“... Albo jeszcze: „Nigdy dotychczas nie zachodziła tak wielka potrzeba uczciwości, jak obecnie“.

Kalendarzyk podaje wykaz czasopism i książek, wydawanych przez Instytut Naukowej Organizacji, a także państw należących do powstałego w 1926 roku, Międzynarodowego Komitetu Naukowej Organizacji — w zakończeniu zaś stwierdza często zapoznaną prawdę, że „człowiek rzeczywiście praktyczny, to taki, który żyje ideałami i zawsze wierny jest wyznawanym przez się zasadom“.

¹⁾ Nabyć go można w Instytucie, Warszawa, Krakowskie Przedmieście 66. Cena 35 groszy.

GUSTAW MORCINEK

NASZE RYCINY.

Pomnik św. Stanisława na Skałce w Krakowie.

Było to za panowania Bolesława Śmiałego. Można rycerz Piotrowin umierając, przekazał testamentem swój majątek Kościołowi. Król nasz miał pewne wątpliwości, co do prawdziwości testamentu i jako najwyższy sędzia w Polsce, wytoczył sprawę o owe ziemie

św. Stanisławowi, biskupowi krakowskiemu. Wówczas — według podania — św. Stanisław wskrzesił, za mocą Bożą, Piotrowina, kazał mu wstać z grobu, żeby przed królem świadczył prawdzie.

Na naszym obrazku, na okładce, widzimy

rzeźbę przedstawiającą tę chwilę, gdy św. Stanisław wskrzesza umarłego rycerza. W szatach kapłańskich, w infule na głowie, z pastorałem w rękę, z lekko nachyloną głową, patrzy się na Piotrowina, wstającego u jego stóp z grobu. Zdaje się w tej chwili mówić: „Piotrowinie, mówię tobie w Imię Boże wstań!..“ i dwoma palcami u prawej ręki czyni krzyż nad nim. Wskrzeszony Piotrowin wstaje, podnosi się z grobu a całun śmiertelny opada z niego na ziemię. I tylko czekać, skoro całkiem wynurzy się z mogiły a biskup ujmie go za wyciągnięte ramię i zejdzie z piedesta-

łu i poprowadzi przed króla na Wawelski Zamek, widniejący w głębi.

Ktoś pomyśli: „Dobrze, ale tu przecież wcale nie widać grobu... To ów Piotrowin raczej z kamienia wychodzi.“ Słusznie, ale bo też rzeźbiarz tylko w ten sposób mógł nam tę scenę przedstawić. Postać wskrzeszonego widniejąca do połowy, wywołuje w nas wrażenie, niewidocznej głębi z której się podnosi. Rzeźbę tę odmalował nasz malarz Tondos. Obraz ów w oryginale jest malowany akwarelą, czyli farbami wodnymi, jakich używacie w szkole.

Inż. RYBICKI

O DONIOSŁOŚCI TECHNIKI.

W nowo powstałym Państwie naszym do budowania mamy bardzo wiele, i tylko wielkim, zbiorowym wysiłkiem całego społeczeństwa zdołamy wznieść gmach niezachwiany, zdolny oprzeć się burzom zewnętrznym i wewnętrznym. Budowa: — wyraz ten dziś wszechwładnie zapanował w świecie całym i w dziedzinie mechaniki święci dziś istne triumfy tak, że wiek obecny śmiało nazwać można wiekiem zdobyczy technicznych. Szalony postęp w technice lotniczej czyni z człowieka istnego Ikara przelatującego oceany, góry, lądy na skrzydłach swej maszyny.

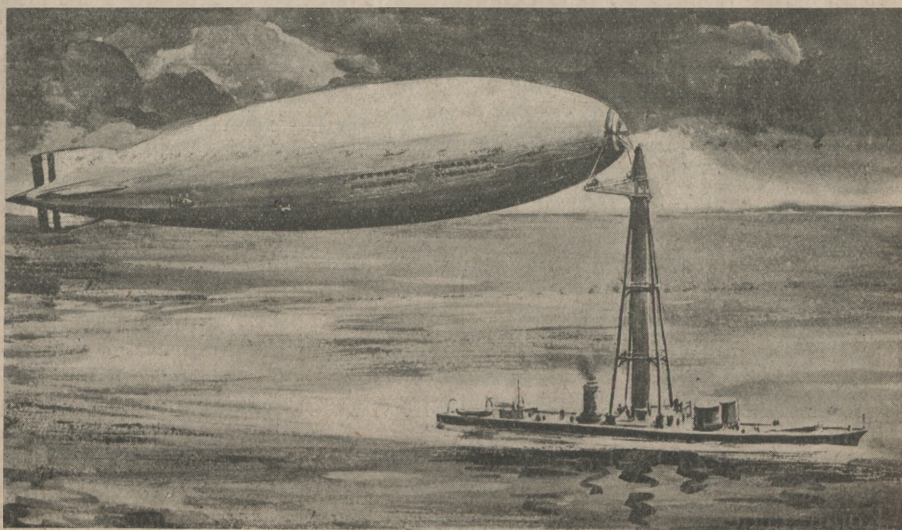
Postęp w tym kierunku idzie naprawdę tak szybkim krokiem, że myśl ludzka gubi się poprostu w przewidywaniach co jeszcze zdobędzie wynalazczy umysł ludzki. — Szybkość, codzien zwiększające się tempo życia, ten symbol widomy postępu, jest godłem 20-go stulecia.

Wielki pionier wiedzy i mistrz sztuki jak Leonardo da Vinci pracując nad zagadnieniem lotnictwa szukał boskiej rozkoszy opanowania żywiołu powietrznego i wzniesienia się ponad poziomy. Potrzeba mozolnej pracy szeregudalszych wieków, by myśl tę genialną wcie-

lić w czyn.

Na to urzeczywistnienie złożyła się świadomość praw rządzących tym powietrznym żywiołem, i głęboka wiedza techniczna na której opiera się lotnictwo. Dziś, po fantastycznych wprost lotach śmiałych żeglarzy powietrznych można z całą pewnością stwierdzić, że lotnictwo, któremu realny początek dały pierwsze próby doświadczalne braci Wriktów w roku 1903, dziś stoi na najwyższym poziomie i w każdej dziedzinie życia społecznego wdiera się zwycięskim, potężnym rozmachem.

A więc popieranie Ligi Obrony Powietrznej Państwa w naszym społeczeństwie jest nie tylko wielkim obowiązkiem patriotycznym każdego obywatela Polski, lecz i koniecznością z którą liczyć się musimy poważnie: nie zamykać oczu na doniosłość tego zagadnienia.



BAŚŃ TÀTRZAŃSKA O KRÓLU WĘŻÓW.

Ciąg dalszy (3).

Każdy z górali dostaje w dzieciństwie przezwisko, co je zwykle do grobowej deski nosi, więc Jasio, choć od drugich szanowany, także miał swoje.

Że śmiało po skałach nieprzystępnych chodził i w zaciętych bójkach nie tylko kulakami, ale i głową uderzał, więc go Capem przewano. Otóż ten zuch, ten Cap, za Boskiem zrządzeniem od pierwszego spotkania wziął Kasię pod szczególną opiekę i natychmiast zmieniła się jej dola. W domu jak dawniej było źle, lżono ją i przeciążano robotą, ale za to na pastwisku nikt już nie śmiał nie tylko jej dokuczać, ale palca na nią zakrzywić.

Dunajec weselej dla sieroty szumiał, lasy i trawy zieleniejsze się zrobiły i Kasia przylgnęła do swego obrońcy jak do rodzonej matki. Młodziuchne serce, jak kwiat przed słońcem rozwarzyło się przed Jasiem. Niedługo Cap i Kasia była to para nierozdzielna. Dwa lata przeminęły im jak biczem trzasnął i kto wie, ileby jeszcze czasu wszystko szło u nich jednakim trybem, gdyby nie języki złych ludzi, którzy ich ciche szczęście poróżnili. Ale Cap szybko nienawiść ze serca wyrzucił i doczekała się Kasia, że przyszedł do niej, na pastwisko, usiadł milcząc na trawie koło jej nóg i twarz ukrył w dłonie. Pokrzywdzona zapomniała urazy, żal jej się wielki Jasio zrobił, że go ciężki smutek trapi i długo milcząc patrzyła na Jasiową czarną czuprynę i na ogorzałe ręce rozpostarte na twarzy. Nareszcie z pod tych rąk wyszedł serdeczny głos: — Kasiu! — Co Jasiu! — Nie wychodź ty za mąż, choćby cię najbogatszy gazda chciał, ale na mnie poczekaj. — Dobrze Jasiu.

W cztery lata po tej rozmowie w Krościenku odbył się ślub.

Uroczystość przysięga została wymówiona. Obrzęd się skończył i szczęście rozjaśniło męską twarz Jasia, że Kasia jest już jego dogrobowym towarzyszem. Kasia również szczęśliwa, bo nieboszczyka ojca i niebożyczkę matkę w swoim Jasiu znalazła.

Wszystko to bardzo pięknie, powiadać cię, ale czy długo będzie tego szczęścia? Komu takie myśli przychodzą do głowy,

to widać żadna cyganka wróżyć go nie uczyła. Popatrzcie dobrze Jasiowi w oczy, obejrście uważnie tę dłoń szeroką, a zobaczycie, że tacy żelazni ludzie, co tylko zechcą, to zrobią.

Nowo wybudowana chata Capa, czyli jak on nazywał *chyżka*, sama jedna stała wśród lasu wysoko nad Niżnią Szczawicą i nad Miodziusiem, przy źródle, na maleńkiej płasni, co się usadowiła na wierchu Chyliny pomiędzy dwoma gronikami.

Cap wprowadziwszy Kasię do pustych ścian domostwa, co je z wielkim mozółem zbudował, powiedział żonie tak: — Dzięki Panu Bogu mamy nad głową dach, ale żeby były i łyżki i miski, i wóz, i statek, i chleba kawałek dla nas i dla dzieci, jeżeli podoba się Panu Bogu nam je dać, to musimy moja kobieto okrutnie pracować. — Dobrze Jasiu — powiedziała Kasia, i zakasawszy rękawy, wzięła się zaraz do roboty. Cap napluł w garście, jął się siekiery i bez wytchnienia pracowali przez lat dziesięć.

Chorować nie mieli czasu, miejsce było dobrze obrane, bo równienka mała, sąsiedzi nie mogli się sadowić, pastwiska dokoła szumne, nowina dosyć żyzna, las tuż, woda jak kryształ; mimo to wszystko po dziesięciu latach strasznie czegoś Jaś zaturbowany. Czyżby go Kasia kochać przestała? Nie przestała, rozmiłowana w Capie, jak pierwszego dnia po ślubie. Czyżby im się nie wiodło? Gdzieby się tam bieda ostała przy takiej pracy i przy takim gazdowaniu. Są i miski, i łyżki, i wozy, i konie, i bydło, i owce, i kaleta dobrze dudkami wypchana — ale dzieci niema i dlatego Jaś smutny.

* Była to właśnie wiosenna pora strzyżać owiec, więc Jaś z Kasią, zaprosiwszy kumę z Niżniej do pomocy, strzygli swój drobny statek przez cały dzień. Kuma lubiła i umiała bajki opowiadać, więc przy robocie prawiła je wciąż, dopóki nie odeszła wieczorem i tak głowę im upiorami i wstającami z grobu nieboszczykami nabiła, że gdy w nocy po parnym dniu nastąpiła ulewa z wichrem i błyskawicami, pierwszy raz w życiu strach ich opanował i nie mogli spać. Około północy coś

mocno zastukało w szybę, a Kruczek przed sienią zawył przeciągle. W Kasi dech zamarł i przycisnęła się do poduszki, a Cap groźnie zawołał: — Kto tam? — Dziad nieszczęśliwy — głuchy głos z za okna odpowiedział. Kasia zapomniawszy w jednej chwili o strachu, zerwała się z łóżka i zaczęła prosić męża: — Otwórz mu, Jasiu, niech biedny starowina na deszczu nie moknie, otwórz mu Jasiu prędzej, ja tymczasem ogień rozpale.

Cap nim wyszedł do sieni, zbliżył się wprzód ostrożnie do okna i dopiero zobaczywszy przy blasku błyskawicy, że tylko jeden człowiek się czerni, wpuścił go wewnątrz chaty. — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — głuchy głos odezwał się na progu. — Na wieki wieków — odpowiedział Cap i przybysza na ławę zapraszał: — tu siadajcie, ojcie, nim moja ogień rozpali.

Dziad siadł pod oknem, Cap opodał na łóżku, Kasia dmuchała przy kominie.

— Skąd wy, ojcie? — pyta gospodarz. — Z daleka — mówi przybyły. — Przecież skąd? — Idę z lasu.

Ogień buchnął na kominie; Cap ciekawie spojrzał na cudzego człowieka i aż mrowie po nim przeszło. Był ubrany po góralsku, ale twarz miał żółtą jak wosk, oczy jak szklane i sine palce jak u nieboszczyka. Skoro się widno w izbie zrobiło, przychodni górął zakrył dłonią oczy, łokieć wsparł na kolanie i zaczął cicho jęczeć. — Co wam takiego, ojcie? — troskliwie pytała, podbiegłszy do niego Kasia.

Przybyły nic nie odpowiedział, tylko coraz smutniej jęczał, że aż Kasi łzy się w oczach zakręciły i jedna spadła na sine ręce górala.

— Co wam takiego? — Chory jestem bardzo — z cicha zaszeptał. — Zrzućcie, ojcie, prze-moknięcie, układajcie się w mojej pościeli, ja wam tymczasem zwarzę co ciepłego,

to Bóg da, że wam zaraz lżej będzie? Co wam to tak dolega?

— Lata dolegają. Nie układę się i jeśli nie będę, ale Bóg ci zapłaci stokrotnie za dobre serce. Czy z Niżniej jesteście rodem, miłosierna kobieto? — Nie, ojcie, z Miodziusia. — A jak się nazywasz? Kasia



Macie, weźcie tę perłę, zmówcie razem z żoną Anioł Pański i niech kobieta ją połknie, a dzieci Pan Jezus da.

Jasiowa. No, ojcie, zrzucicie tę guńkę przemokłą, układźcie się w pościeli. — Nie mogę. A jak się twój rodzic nazywał? — Stach, a przezywali go Jazowiakiem, bo mój dziad z Jazowska na Miodzius przy-szedł. — A mówisz ty czasem pacierz za duszę rodziców? Mówię codzień. — Kobięto miłosierna, zmówże ty czasem i za swego dziada pacierz. — Dobrze, ojcie, ale mnie słuchajcie, boście aż pożółkli z niewywcza-su. zróbcie mi tę łaskę i pozwólcie sobie po-służyć. — Nie mogę. A macie wy gazdo pszczoły? — Nie mam. Co mi tam po miodzie, nie mam dzieci, żeby go jadły. To nie wasze te, co śpią? Przecież są sposoby u-prosić Pana Boga o dzieci. Oj, czemu wy pszczołnie trzymacie, tu wiodłyby się u was, dobre miejsce, zaciszne, pożytki bliskie. A na Miodziusiu dużo pszczoł?

— Niewiele. A jakież to są sposoby, żeby uprosić Pana Boga o dzieci? — Przy-chodni góral spojrzal w okno; ulewa usta-ła, zaczynało się wypogadzać, zerwał się co tchu z ławy i zawołał: — Muszę iść czem prędzej. Nie znacie się, widzę, na

pszczołach. Szkoda gazdo, że się w pszczo-lach nie kochacie. Bądźcie zdrowi. Muszę już iść, ale kiedy tak dzieci pożądam, to ja wam poradzę, co robić. Macie, weź-cie tę perłę, zmówcie razem z żoną Aniol Pański i niech kobieta ją połknie, a dzie-ci Pan Jezus da. Bądźcie zdrowi. Pokój temu miłosiernemu domowi. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Nim Cap z żoną po-dążyli pro-sić górala, żeby zos-tał, już znikł za drzwiami, tylko wielka perła w ręku zdu-mionego gazdy po-została.

Jaś tak gorąco pra-gnął mieć dzieci, zre-sztą przy-chodni góral i wcho-dząc i wy-chodząc pochwalił Pana Bo-ga, więc Kasia od-mówiwszy z mężem Aniol Pań-skipółknęła perłę.

Przeszło lato, prze-szła jesień, aż oto w końcu zi-my w cha-

cie Capa kołyska się zjawiła. Kasia po-wiła syna, którego zaraz po urodzeniu ludzie przezwali Perłowicem. Po sutych parodniowych chrzcinach, gdy się goście rozeszli, Cap powiedział żonie tak: —

Moja kobięto, zazналиśmy biedy w dzie-ciństwie, niech nasze dziecko przez całe



...okrutny srebrny padalec zaczyna łeb ponad Tatry ku górze dźwigać, przypatrując się zawzięcie guńce Ożoga.

zycie jej nie zna, pracujemy jeszcze. — Dobrze, Jasiu — powiedziała Kasia i znowu zakasawszy rękawy wzięła się do roboty. Perłowic z dziecka od piersi wyrósł na chodaczka śmiałego jak ojciec, serdecznego jak matka i pasał rodzicielskie owce pod Bystrzykiem.

A w owych czasach, gdy się dziesięć lat skończyło Perłowicowi, wielkie nieszczęście spotkało wszystkie siedem wsi położonych na Szczawnickiej dolinie. Jeden zuchwały chodak, co go Ożogiem przezywano, pasając za Dunajcem statek, umyślił przekonać się, czy to też prawda, co ludzie powiadają, że król węzów czołga się po tatrzańskich turniach. Co umy-

ślił, to zrobił i po zachodzie słońca wszedł po uboczu na wierzch pieńskiej skały Grabczychy i dawajże się najspokojniej Tatrom przyglądać. Ujrzał na niebie wielki kamienny tron, tu i owdzie zrysowany i spękany. Lśniło się srebro, iskrzyły diamenty, ale żadnego węża nie było. Zmyślają ludzie — myślał Ożóg, a wtem coś białego zaczyna się ruszać na tatrzańskich wierchach. Głupi chłopak myślał, że to obłoki i przyglądał się jeszcze, aż tu białe ruszające się szmatki zlepiły się razem i powoli okrutny srebrny padalec zaczyna łeb ponad Tatry ku górze dźwigać, przypatrując się zawzięcie guńce Ożoga.

C. d. n.

SEWERYN UDZIELA

W NIEDZIELĘ KWIETNIA.

Ciąg dalszy (2).

Matka nie nalegała bardzo na chłopca; niech się nacieszy swemi dziecinami pomysłami, bo ani na chwilę nie przypuszczała, aby z tego coś było, co Staś myślał. Ot, dziecinne marzenia.

Ale Staś od dni kilku myślał bardzo poważnie o zdobyciu pieniędzy. Niedawno był u swego kolegi Ziuziulika i tam słyszał, jak babka opowiadała, że za wsią pod brzezinką niedaleko zamczyska są ukryte wielkie pieniądze, całe kupy srebrnych talarów i złotych dukatów, ale nikt ich znaleźć nie może, bo je djabeł przysiadł. Tylko w Niedzielę Kwietnią przed samą Wielkanocą każdy djabeł musi słuchać w kościele ewangelji o Męce Pańskiej i wtedy skarby stoją otwarte. Gdyby wtedy kto natrafił na ten otwór, to mógłby nabrać złota i srebra ile by chciał, ile tylko mógłby unieść. Raz nawet zdarzyło się, że szła tamtędy kobieta z dzieckiem na ręku, natrafiła na jamę w ziemi, a gdy tam spojrzała, zobaczyła całe kupy złota i srebra. Uradowana weszła do jamy, posadziła dziecko na pieniądzach i dała mu jabłko, aby się bawiło, a ona tymczasem czempredziej brała dukaty i talary do fartucha i za pazuchę, a spieszyła się by nabrać jak najwięcej. Och, byłaby tego miała dosyć do śmierci, gdyby była prędko porwała dziecko i uciekała do domu. Ale pokusa była większa niż rozsądek. Żal jej było okazji takich skarbow, chciała jeszcze nabrać więcej, a że od razu więcej zabrać nie mogła, zostawiła

dziecko bawiące się jabłkiem, a sama pobiegła z pieniędzmi do domu, bo to było niedaleko. Pieniądze wysypała do skrzynki i w okamgnieniu była już z powrotem, ale... spóźniła się. Ksiądz w kościele skończył czytać ewangelję, djabeł powrócił i zasiadł na skarbach, jama się zawarła a w niej zostało dziecko. Kobieta rozgorączkowana biegła tam i sam, lecz do jamy nie mogła trafić, nie mogła nawet znaleźć śladu gdzie ona była. O mało nie oszalała z rozpaczki za straconem dzieckiem. Dopiero na drugą Niedzielę Kwietnią, gdy pobiegła znowu pod brzezinkę niedaleko zamczyska, natrafiła na otwartą jamę i w niej zobaczyła dziecko swoje, siedzące na kopcu pieniędzy i bawiące się jabłkiem, tak, jak je zostawiła przed rokiem. Uradowana porwała dziecko, ale pieniędzy nie tknęła już więcej.

Opowiadanie rozgorączkowało chłopca. Skarby łatwe do zdobycia marnie leżące w ziemi, a tak nam potrzebne. Żeby to chociaż garstkę dukatów pochwycić, jużby mamie wystarczyło i na trzewiki dla mnie i dla Zosi i na sukienki dla niej, na ubranie dla matusi, bo też w starem i bardzo lichem chodzi. A jakie wesołe święta byłoby w domu! Myśl zdobycia pieniędzy w Niedzielę Kwietnią tak go zajęła, że przeszkadzała mu w nauce, we śnie niepokoiła go często. Wypytywał kolegów, czy który nie wie czegoś o zaczarowanych

skarbach i dziwił się bardzo, że słyszał teraz wiele takich rzeczy, o których dotąd nic nie wiedział. Zastanawiał się tylko dlaczego kochana mateczka nigdy nic o tem nie mówiła.

Nie mógł wytrzymać, zwierzył się ze swemi projektami Ziuziulikowi. Był to jego serdeczny przyjaciel, siedzieli obok siebie na jednej ławce, obaj uczyli się bardzo dobrze.

— Wiesz co Jasiu — mówił — gdyby tak iść szukać tych skarbów, o których babka kiedyś opowiadała? Przecież nie zrobilibyśmy krzywdy nikomu. Djabeł nic po tych pieniądzach, a musi ich pilnować i siedzieć na nich rok cały. Chyba i jemu przykrzy się tam wiecznie na jednym miejscu przebywać beczynnie. Może i on byłby zadowolony, gdyby ktoś sprzątnął te skarby i zwolnił go z takiej bezpożytecznej straży? Jak ty myślisz?

Ziuziulik zdziwił się bardzo tą mową Stasia, pomyślał chwilę i odezwał się:

— Dobrzeby to było, mój Stasiu, żeby można podejść tego potępieńca i przynieść do domu trochę pieniędzy, bo to i u nas nie przewala się i moja mama ucieszyłaby się. Ale to przecież straszne z djabeł zaczynać.

— Nie słyszałeś to, co mówią, że *nie taki czarny jak go malują?* A Frycek opowiadał mi nawet, że jednemu chłopcu

sam djabeł dał czapkę pieniędzy.

— Co mówisz? Jakże to było?

— Dnia jednego paśli chłopcy krowy na pastwisku, zabawiali się przytem figlowali, a nieraz jeden drugiemu dobrze dokuczył z rozpusty. A był między nimi biedny chłopczyzna syn wdowy, który usuwał się na bok, skoro się tylko towarzysze rozbrykali, bo jakiś był słabowity i pewnie zawsze głodny. Były tam niedaleko jakieś mury stare, jakieś zwałiska, może z zamku jakiego, może z klasztoru — nikt nie wiedział z czego — a obok dziura głęboka, niby do piwnicy wejście, niby studnia zrujnowana. Mówili, że tam siedzi djabeł na pieniądzach, to też ze strachem zbliżał się do niej każdy, a choć który śmielszy zaglądał, to i tak nic nie zobaczył, bo otwór był głęboki. Raz pastuchy zdarły z głowy czapkę temu biednemu i wśród śmiechu wrzuciły do dziury. Biedak zaczął płakać, bo to była jego jedyna czapczyzna, a matkę nie stać było sprawić mu nową. Pastuchy rozbiegły się zaraz na wszystkie strony, a ten biedak chodził wokoło otworu, płakał i narzekał: „Moja czapka, moja czapka!” Djabeł posłyszał, ulitował się nad biedakiem, nasyłał do czapki pieniędzy i wyrzucił mu ją pełną dukatów.

— To ładnie zrobił, ale nużby inaczej z nami postąpił.

c. d. n.

KAROL IRZYKOWSKI

O KINIE.

Patrzysz na otaczające cię przedmioty i zdarzenia, ale czy je widzisz? Bo widzieć to nie to samo co spostrzeżać, patrzeć i zauważyć.

Wszedłeś w piękną dolinę górską, ale ci właśnie spieszą do pociągu, więc radbyś tylko wiedzieć, jak się dolina nazywa, aby ją znaleźć na mapie i zbadać czy daleko od stacji, rozglądasz się czy droga łatwa, czy słońce już nie zachodzi, czy wóz drogą nie jedzie, żeby cię zabrał. Pełne praktycznego interesu jest twoje patrzenie. Dopiero gdy się przekonasz, że za późno, że tego czasu, którego dopiero co miałeś za mało, teraz masz do syta, wtedy zaczynasz patrzeć inaczej, patrzeć bezinteresownie i widzisz. Dolina objawia ci swoją piękność. Strumyk, któregoś nie

dojrzał, zaczyna szemrzeć. Zajmie cię szczególnie jakaś grupa sosen nadskalnych albo limba samotna. Zapragniesz jakby oderwać coś od tej doliny, nie uszkadzając jej, i zabrać z sobą — jej serce. Za parę dni może zobaczysz niespodziewanie to właśnie, o co ci chodzi — w obrazie. Obraz, sztuka! Teraz rozumiesz ich myśl. Stały ci się potrzebne. Masz przed sobą serce przedmiotu. Już tylko widzisz.

Otóż tem samem, czym jest malarstwo dla przedmiotów stałych, to znaczy uchwyconych w jednej chwili — jest kino dla zdarzeń rozwijających się w czasie. Ono daje *widzialność zdarzenia*.

Słowo „widzialność” wyda ci się zrazu obcem i niezrozumiałem, bo właśnie niby rozumiejącem się samo przez się,

a jednak w niem właśnie leży cała tajemnica.

Powoli przyjmiesz je za swoje, napełnisz je własną treścią — i tylko o tyle, o ile je napełnisz swoją treścią, wnikesz w istotę kina. W wypadkach, które rozgrywają się naokoło ciebie, będziesz rozróżniał ich stronę polityczną, społeczną, ekonomiczną, literacką, malarską i kinową. Wzbogacisz się jakby o nowy zmysł.

Ale które zdarzenia zawierają w sobie najwięcej tego, co by mogło zaspokoić nasz zmysł kinowy, nasze pragnienie, aby „napaść” wzrok? Przypomnijmy sobie z kina nie sztuki te lub owe, lecz momenty, w których to nasza żądza widzenia budziła się najsilniej i zaspakajała najbardziej.

Takim momentem był np. ten, gdy na ekranie pojawia się okręt i dzieje bohaterów sztuki na nim się rozgrywają. Okręt obiecuje nam — i dotrzymuje mnóstwa niezwykle wrażeń. Jest to przedmiot pełen różnych maszyn, urządzeń i załączników: żagle, kominy, kotły, pokłady, kotwice, łodzie, kajuty i t. p., cały ten świat wytworzony i ujawniony przez człowieka może jednak niekiedy zawieść go i obrócić się przeciw niemu. Żagle może złamać burza, kocioł może wybuchnąć, kajuty może zalać woda, wdzierająca się szparą od spodu.

Widok majtków uwijających się wśród siatek żagli i rejów należy do najpiękniejszych w kinie. Tak samo burza morska, obrona człowieka przed żywiołem, ratunek lub klęska. Okręt zanurza się w odmętach, przechyła, tonie, tworzy się wir, gdzieś daleko płyną łodzie z rozbitkami, niektórzy ratują się w pasach ratunkowych. Niczego nie trzeba tu objaśniać, napisów i rozmówek może nie być, wszystko się widzi.

Okręt nazywa się w języku kinowym *przedmiotem fotogenicznym*, to znaczy takim, dzięki któremu możemy otrzymać bardzo dużą sumę energicznych wrażeń wzrokowych.

Takim samym przedmiotem jest np. kopalnia, kolej, aeroplan, balon, ruiny, latarnia morska, morze samo, skały... Widzimy, że wogóle pewne skupienia materji sprzyjają rozwijaniu się silnych scen kinowych czyli „fotogenji”. Patrzmy na pracę kowala w kuźni — to jest przecież

szczyt kina. Człowiek, który tonie i dobywa wszystkich sił, aby dopłynąć do brzegu. Albo człowiek, który ścina drzewo w lesie.

Walka człowieka z przyrodą, wogóle z materją może być główną treścią kina. Kino mogłoby być świadkiem tej walki, wiernie odtwarzać jej szczegóły, albo twórczą nadzieją wybiegać w przyszłość i pokazywać nam to, co człowiek kiedyś zrobi, jakim będzie zwycięzcą. Dlatego dla ludzi pracy kino może mieć wielkie znaczenie.

Lecz materja nie tylko opornie zachowuje się względem człowieka, żyje z nim także w przyjaźni. Ta sama woda, która go zatapia, kiedy indziej jest mu tylko kąpielą. Ileż wesołych scen na ekranie widzieliśmy, w których ludzie chlapiają się wodą. Także chmury rozsypujące się maki, rozsypującego się pierza, często rozśmieszały nas w kinie.

Musimy więc powiedzieć, że kino oddaje nie tylko walkę z materją, lecz wogóle *wszelkie obcowanie człowieka z materją*. Jest to bardzo często obcowanie takie, którego dotychczas nie zauważyliśmy. Siedzimy niespokojnie na krześle, wywijamy łaską, opieramy się o jakiś przedmiot poprawiamy na sobie ubranie, lecz zajęci rozmową, książką, pracą, myślami nie zauważamy tego, co się dzieje z naszym ciałem. Ale zato kinematograf, który jest głuchy i niemy, podpatruje nas i w obrazie opowiada nam o tem, o czem zapominamy. Że nie jesteśmy tylko duchem, lecz także ciałem, że tkwimy korzeniami w materji, na każdym kroku od niej zależni; słowem że „materjalizm dziejowy” napełnia każdą chwilę naszego istnienia, wzywając nas do czynu, do pracy, do twórczości, do wyzwolenia.

Kino dotychczasowe jest właściwie jeszcze tylko popularnym teatrem, pokazuje nam ciekawe *historje*, bawi i rozśmiesza i tylko niekiedy, w szczęśliwych błyskach natchnienia reżyserskiego, przynosi nam sceny, które stawiają nam żywo przed oczy nasze pożycie z materją, jak np. owe sceny na okręcie, witane mimowoli zaparciem oddechu przez zdumionych widzów.

(Szersze rozwinięcie tych myśli o kinie można znaleźć w mojej książce p. t. „Dziesiąta Muza”.

KORNEL MAKUSZYŃSKI

MÓJ PIERWSZY WIERSZ.

Ciąg dalszy (4).

Przechodząc w niedzielę koło redakcji „Słowa Polskiego” — zatoczyłem się, jak pijany. U wejścia do redakcji wywieszono numer gazety. Boże Jedyny! Na pierwszym miejscu w dodatku literackim jaśnieje, błyszczy się, krzyczy, wrzeszczy na cały świat mój wiersz, moje dwa sonety. Jan Kasprowicz kazał je wydrukować.

Świat się ze mną zakręcił. Chciałem krzyczeć i śpiewać z radości, chciałem ścisnąć każdego przechodnia, każdemu powiedzieć: „Panie! To moje wiersze!”

Chwilę tę pamiętać będę zawsze i zawsze ją sobie na pamięć przywodzę i to słodkie wspomnienie wydobywane z serca, ile razy dziś do mojego gabinetu w redakcji, szurgając mocno nogami wchodzi pół żywy ze strachu i z emocji młody chłopak, rumieniejący się, jak panna, i podaje mi zwitek papieru — wiersze. Śmiało, śmiało, młody, kochany chłopcze! Ja znam te wzruszenia, ja ci powiem sumienie, czy co siedzi w twych wierszach...

Proszę sobie teraz wyobrazić, co się nazajutrz działo w gimnazjum. W ulu nie ma nigdy takiego poruszenia.

Smarkacze obchodzili mnie zdaleka, z niemym podziwem w błyszczących oczach. Stałem się dumą całego gimnazjum.

Wisiąca jednak nade mną chmura. Austriackie przepisy szkolne groziły srogą karą za druk bez pozwolenia dyrekcji. Nigdy jednak nie było o tem mowy, bo nikt nie drukował ze sztubaków.

Za chwilę wołają mnie do dyrektora. Au! Siwy człowiek patrzy na mnie długo, a pode mną trzęsą się nogi. Patrzę nieśmiało w chmurę jego oblicza... Co to jest? Ten człowiek się do mnie uśmiecha... Pogłodził mnie po głowie i powiada:

— Niech ci Bóg dopomaga, drogi chłopcze... Ale pamiętaj, że nie wolno!... Już nie będziesz?

— Będę, panie dyrektorze!

— No to dobrze!

Tak uczciwy Polak ukarał młodego wierszokłete.

Po tej audjencji zrobiliśmy sobie z moim profesorem literatury porozumiewawcze „oko”, jak dwaj współnicy literackiej zbrodni.

Nieprzyjemna zabawa zaczęła się jednak dopiero później. Piszę ja do Kasprowicza list, którego każde słowo było promieniem słońca i nieśmiało zapytuję w przypisku, czy mi gazeta czasem cokolwiek jeszcze wydrukuje?

Nazajutrz czytam w rubryce „Odpowiedzi Redakcji”... Najchętniej. Proszę się zgłosić po odbiór honorarjum“.

„Honorarjum”? Co to jest?! Boże drogi. To jakieś dziwne ludzie w tej gazecie; robią smarkaczowi przyjemność niebotyczną i chcą jeszcze za to płacić.

Robię tedy naradę z kolegami.

— Musisz iść! — powiadają.

— Boję się! — mówię ja.

— Nie bój się, warjat! Kasprowicz to podobno byczy chłop! — Powiadają oni.

Wobec takiej informacji rozpoczynam przygotowania. Dziurę w bucie zaszyłem białą nitką i posmarowałem atramentem. Mydłem i szczotką wyczyściłem mundurek, który mógł służyć za lustro i u fryzjera w małym mieście.

Na kołnierzu dwa złote paski, (szósta klasa) cokolwiek wyrudziały, jednak dodają splendoru.

Plunąłem w dłoń i misternie przyglądałem czuprynę. Poszedłem z wizytą do Jana Kasprowicza. Odprowadziło mnie szesnastu zaufanych kolegów i czekali cierpliwie na ulicy.

Moje biedne, głupie serce tłukło się w piersi, jak oszalałe. Byłem olady, jak skruszały nieboszczyk.

Ze strachem pytam cerbera:

— Pan Kasprowicz jest?

— A jak jest, to co?

— Chciałem się zobaczyć...

— A kawaler z listem?

Nie! — mówię grzecznie, — ale pan Kasprowicz kazał mi przyjść.

— To wal pan w te drzwi.

C. d. n

ROZRYWKI

*Wszelki kłopot i bieda nato dane, żeby je zwyciężyć.
Uciec — na nic się nie przyda; jest to samo, co broń złoczywszy — emigrować.*

A. Mickiewicz.

KONKURS NA WYTRWAŁOŚĆ

Nr 4.

ZAGADKA MATEMATYCZNA

(za rozwiązanie 2 punkty.)

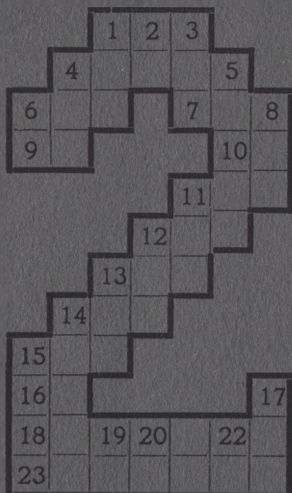
nadesłał Ster.

Napisać liczbę 1000 cyframi, jednak bez użycia zer i jedynek.

KRZYŻÓWKA

uł. Albina Badurczanka

(za rozwiązanie 5 punktów).



Znaczenie wyrazów pionowo:

1. kogut, 2. rodzaj gliny, 3. mieszkanie pierwszych ludzi, 4. rodzaj głosu, 5. miasto na Węgrzech, 6. zaimek osobowy, 7. drzewo, 10. ogród owocowy, 12. roślina, 13. miara, 14. leżak z plecionki, 15. miejsce rozrywki, 17. pseudonim powieściopisarza polskiego, 19. przyimek, 20. miara pola.

Znaczenie wyrazów poziomo:

1. żałoba, 4. rodzaj szabli, 6. wawóz, 7. mąż biblijny znany z wielkiej cierpliwości, 9. karta, 10. spółnik, 11. potrzebny rybakowi, 12. miesiąc, 13. porządek, 14. ogromny hałas, 15. oprawca, 16. zaimek, 18. miasto w Ziemi Świętej, 23. gliniany instrument muzyczny, dęty, w rodzaju fletu, kształtem przypomina tułów ptaka.

ŁAMIGŁÓWKA ARYTMETYCZNA

(za rozwiązanie 4 punkty).

ułożył Wł. Smalski

W podanym kwadracie liczby od 1-16 poprzestawiać tak, ażeby w rzędach poziomych i pionowych i na przekątniach suma wynosiła 34.

1	2	3	4
5	6	7	8
9	10	11	12
13	14	15	16

OKIENKO

(za rozwiązanie 3 punkty.)

ułożył Junosza.

13	12	11	10	9	8
		M			
14					7
15					6
	J				
16	1	2	3	4	5 M
17					32
18					31
19 T					30
20					29
21					28
	C		O		
22	23	24	25	26	27

Kwadraty zastąpić literami, które czytane w kierunku oznaczonym liczbami utworzą znane przysłowie. Ażeby łatwiej było Wam rozwiązać, niektóre litery początkowe podajemy.

RATUJMY DZIECI!

Przyjmę dzieci na kolonję letnią w Zakopanem. Wyjątkowo piękne położenie z widokiem na Tatry.

Opieka z całodziennem utrzymaniem 4 złote. Dla szkół i większej grupy — daleko idące ustępstwa. Pomoc lekarska — bezpłatna. Pościel zabrać z sobą.

Łaskawe zgłoszenia (do końca maja b. r.) kierować z całym zaufaniem pod: Zakopane, ul. Nowotarska 104. Przedstawicielstwo „Orląt“.

SPRZEDAM:

Benni'ego	— Podręcznik angielsk. zł. 2.—
	— Gramatyka angielska „ —.50
Knapczykównej	— Podręcznik angielski „ 1.—
Słomskiego	— Samouczek „ —.60
Dziewickiego	— Słowniczek „ —.80
Kronenberga	— Samouczek esperancki „ —.30
Grabowskiego	— Wielki słownik esperancki „ 3.—
Kwiatkowskiego	— Gramatyka francuska (3 części) „ 1.50
Węcowskiego	— Książka francuska (2 części) „ 1.50
Kazury	— Małe Solfeggio (1 zeszyt) „ —.50
	— Co to jest Solfeggio? „ —.50
Czerniawskiego	— Zasady muzyki (2 cz.) „ 2.—
Joteyki	— Śpiew zbiorowy (4 cz.) „ 1.—
	— Nowy podręcznik muzyki (3 części) „ 3.—
Pragłowskiego	— Spotęgowanie woli (4 części) „ 1.—
Rościszewskiego	— Jak osiąść energję? „ 1.—

Poniżej 3 zł nie sprzedam. Do zamówienia proszę dołączyć znaczek 50-gr. na przesyłkę. Zgłoszenia do „Orląt“ pod „Biblos“.

FACECJE Z DAWNEJ POLSKI. FILOZOF A BŁAZEN.

Jechali na jednym statku filozof i błazen. Nastaje burza, ciemności wszystko pochłonęły. Statek raz w przepaść ziejących wód się zagłębia, raz tuż chmur niebiańskich tyka szalonym wichrem poderwany.

Wzdycha a trwoży się filozof, medytując nad śmiercią.

A błazen strachu nie okazuje wcale, owszem szaloną wesołością, skoki wyprawiając kuglarskie i głos strojąc cudacznie i trzęsie się od śmiechu.

Wreszcie ustaje burza, uspakaja się niebo; winszują sobie wszyscy, a błazen wsiada na filozofa:

„Hej!, powiada, masko, filozoficzna, szatę mędrca ośmielasz się nosić, gdy niema w tobie i cienia mądrości!

Mędrcom bowiem ten, na którego zadany afekt nie pada, ni smutek ni obawa, w tobie zaś serce bezkrwiste smutek wysysa, strach zajmuje! Odemnie uczyć ci się mądrości, na którego w śmiertelnej trwodze żadna nie padła obawa!“

A filozof:

„Dawno już twoje błazeństwo z tobą się rozbiło, dawno już pochłonał cię wieloryb bezdennej głupoty. Stracony — nie mogłeś się o to obawiać, co już stracone, nie potrzebował błazen bać się o błazeńskie życie, ale ja — jam bał się o żywot filozofa“.

Wybrał prof. T. Tyc

TRZEŚĆ NUMERU 4-GO Z DNIA 1-GO MAJA 1927 R.

Prof. Dr. Wł. Natanson — Prof. J. J. Boguskiemu w roku złotych Jego z nauką godów . . .	str. 50
Hel. Romer. — Trzeci Maj Józefowej . . .	52
Marja Gerson-Dąbrowska — Zaczłsne Wnętrza . . .	54
E. Kłoniecki — Maj! . . .	55

Helena Witkowska — Kalendarzyk Instytutu Naukowej Organizacji na rok 1927 . . .	str. 56
Gustaw Morcinek — Nasze ryciny . . .	56
Inż. Rybicki — O doniosłości techniki . . .	57
K. Łapczyński — Baśń tatrzańska o królu węzów . . .	58

Pismem kieruje: Komitet redakcyjny pod przewodnictwem D-ra Ignacego Chrzanowskiego Prof. Uniw. Jagiell.

Adres Redakcji i Administracji: Katowice, ulica Wandy L. 41. Wydawca: P. Stasiak.

Redaktor odpowiedzialny: Mieczysław Gładysz, Katowice, ulica Wandy 41.

Przedstawicielstwa: Warszawa, Krakowskie Przedmieście 1, Jerzy Karbowski.

Wilno, Benedyktyńska 2 — 3. Skład Główny na Wilno i Wileńszczyznę księgarnia C. Zarządu P. M. Sz. Z. W. Zakopane, Nowotarska 104.

Warunki prenumeraty „Orląt“ z przesyłką pocztową: — kwartalnie 1.50 zł., — półrocznie 2.80 zł., — rocznie 5 zł. Numer pojedynczy 25 gr. Zagranicą rocznie 2 dolary. Konto w P. K. O. 303 600.

Prenumerata „Orląt“ i „Orlątek“ razem: kwartalnie 2 zł. — półrocznie 3.70 zł. — rocznie 7 zł.

Ogłoszenia: za wiersz wysokości 1 mm., szerokości 1 szpalty 40 gr. Kolumna posiada 2 szpalty.

Do nabycia we wszystkich Księgarniach i Kioskach.

Drukarnia i Introligatornia L. Martynkowski i L. Nowak w Sosnowcu.

ORŁATKA

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

NUMER 4.



KATOWICE, DN. 1-GO MAJA 1927 R.



ROK I.

WIOSENNA NIEDZIELA.

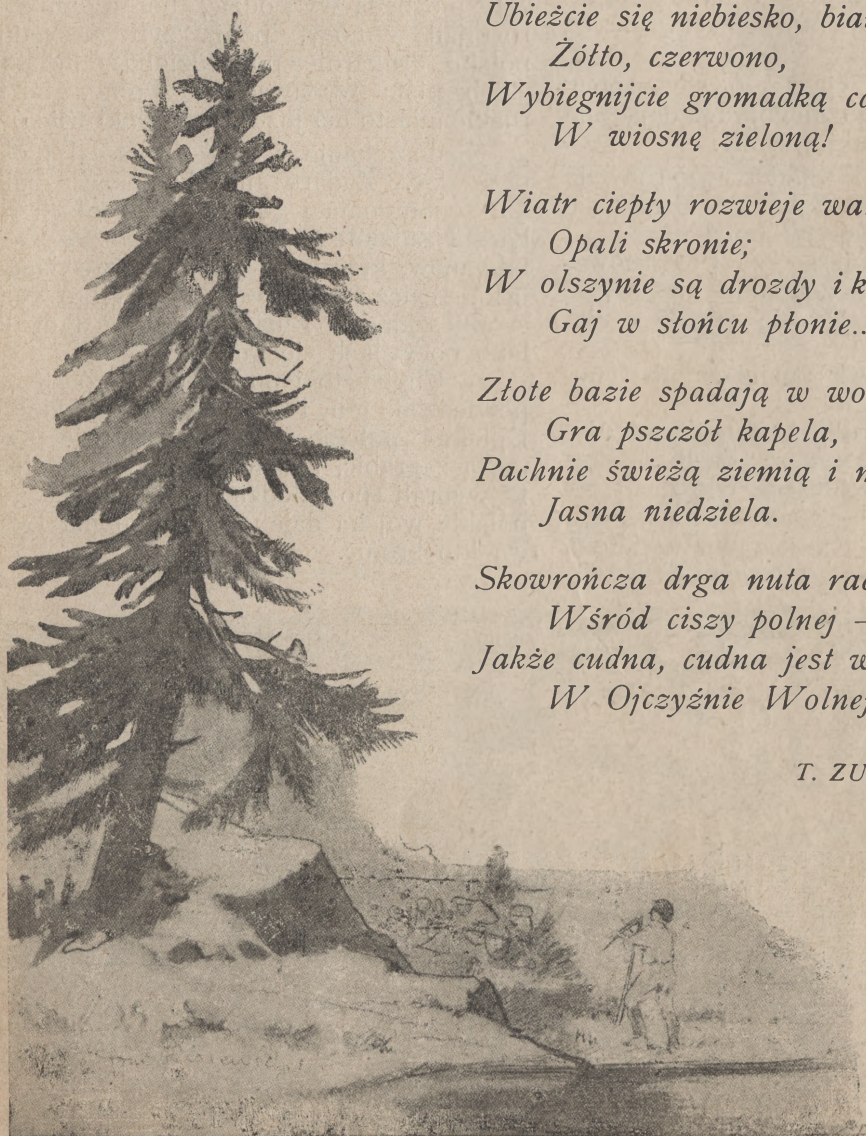
*Ubieżcie się niebiesko, biało,
Żółto, czerwono,
Wybiegnijcie gromadką całą
W wiosnę zieloną!*

*Wiatr ciepły rozwieje wam włosy,
Opali skronie;
W olszynie są drozdy i kosy,
Gaj w słońcu płonie...*

*Złote bazie spadają w wodę,
Gra pszczoł kapela,
Pachnie świeżą ziemią i miodem
Jasna niedziela.*

*Skowroncza drga nuta radosna
Wśród ciszy polnej —
Jakże cudna, cudna jest wiosna
W Ojczyźnie Wolnej!*

T. ZUBRZYCKA



JULJUSZ GERMAN

O JANKU CO WALCZYŁ WE LWOWIE.

Ciąg dalszy (2).

przyszły gorsze czasy.

Pewnego dnia — było to pierwszego listopada — gdy Janek wczesnym pochmurnym rankiem wybiegł z domu i kuląc się z zimna biegł przez ciemne jeszcze ulice po gazety, spotkał na

rogu swego kolegę Franka, małego chłopca z ustami od ucha do ucha, w długim połatanym płaszczu, który włókł się za nim po ziemi.

— Ty, Janek, wiesz, co się w nocy stało? — zawołał do niego, oglądając się ostrożnie na wszystkie strony.

— No co? Pewno matka wygarbowała ci skórę za to, że nigdy nie chcesz się myć, brulasie? — spytał Janek.

— Ale gdzie tam! — rzekł zafrasowany Franek i nawet zapomniał szturknąć Janka w bok, bo tak się zwykle z nim witał.

— Pomyśl tylko! Rusini zajęli w nocy Lwów!

Janek oczy szeroko otworzył a po plecach zimny dreszcz go przeszedł.

— E, gadasz, sam nie wiesz, co! — krzyknął. — Skądże znowu Rusini? Przecież to polskie miasto jak świat światem!

— Polskie ono jest, to wiemy dobrze —

powiedział Franek ze smutkiem — ale polskiego wojska w niem niema. Daleko gdzieś, o setki mil są polscy żołnierze, w Krakowie, w Warszawie. A te Austriacy przebrzydłe dały Rusinom broń i armaty, karabiny i mundury i gdzie tylko spojrzeć, rusińskich oddziałów pełno jak mrowia. Żółto - niebieskie

kokardy mają u czapek, gęby nadęte, oczy wilcze, okrutne. Już w całym mieście się panoszą, już na ratuszu zatknęli żółto-niebieską chorągiew.

— Na ratuszu, koło katedry, gdzie polscy królowie się modlili, ruska chorągiew! — krzyknął Janek i łzy zaczęły kapać mu z oczu.

— Jak ci mówię — rzekł Franek i spuścił głowę na piersi. — I już polskie gazety nie będą wychodzić, bo Rusini porzbijali w nocy, poniszczyli wszystkie polskie drukarnie, powiedzieli, że już polskich pism wydawać nie wolno, bo to ruskie miasto ma już być na wieki wieków.

Niedoczekanie ich! — zawołał Janek przez łzy. Zadarty nosek poczerwieniał mu z oburzenia i gniewu. — A niech ich kaczki zadziobią tych wszystkich Hryciów i Iwanów, którzy po cudze łapy wyciągają! Przecież we Lwowie sami tylko Polacy mieszkają, a Rusini to gdzieś tam daleko po wsiach się gnieźdzą!

— Chytry to i podstępny naród — odpowiedział mu Franek. — Chcą wielkie i piękne polskie miasto dla siebie przemocą zagrabić, by z niego uczynić stolicę. I wybrali po złodziejsku chwilę, gdy polskie wojska daleko, gdy niema Lwowa kto bronić.



— A my to co? — wrzasnął nagle Janek i choć łyzy ciurkiem łały mu się po twarzy, oczki błyszczące jak dwa ziarenka zapaliły się, rozgorzały jak ogniste gwiazdy. — Zbierzemy małych chłopców, choćby uliczników! Znajdą się pewno i starsi! I pokażemy Rusinom! Przepędzimy ich, gdzie pieprz rośnie!

— Dobra myśl! — zawołał Franek i podskoczył do góry, aż mu nogi zapłatały się w długim płaszczu i o mało co się nie przewrócił. — Przestań się tylko mazać! Ładny z ciebie będzie żołnierz, co beczy jak baba.

— To mnie tylko tak trochę łzami zaproszyło, gdy pomyślałem, że już nigdy nie będę polskich pism roznosił! — powiedział cicho Janek. — Ale teraz wiem, że Rusinom Łwowa nie damy. Chodź, Franku!

I oczy obeschły mu w jednej chwili.

— Chodź Janku!

Ujęli się pod ręce i pobiegli w ciemne jeszcze uliczki podśpiewując sobie z cicha:

Polskie miasto, miasto Lwów

a my Polakami!

Pójdzie małych chłopców huf

z gołemi pięściami!

Nie straszny nam armat huk
ani karabiny.

Nie zabierze Łwowa wróg,

Myśmy Polski syny.

Pójdą na Rusinów tłum,



pójdą chłopcy małe!

Orle białe! W skrzydeł szum

uderz nam na chwałę!

Orle białe! Pod twój znak

idziem bez obawy!

Prowadź nas, królewski ptak,

nieśmiertelnej sławy!

Tak sobie Janek z Frankiem śpiewali i zdawało im się, że skrzydła u ramion im rosną, że każdy z nich miecz świetlisty trzyma w dłoni, a na głowie ma hełm złoty, na którym kita z białych i czerwonych piór rozświetla się dumnie.

Aż tu na rogu ulicy stoi ogromny ukraiński żołdak, chłop jak dąb rozrosły. Czapę na oczy nasunął, patrzy z podelbą ponurem, wilczem spojrzeniem na dwóch obdartych malców, na karabin bagnet ostry błyszczący nasadził, ku chłopcom groźnie go kieruje.

— A wy tu co? O polskim orle śpiewacie! W ruskiem mieście! Brzuchy wam porozpruwam, gałgany, szczenięta lasze!

I bagnetem potężnie się zamierzy.

Spojrzał Janek na Franka wzrokiem jak błyskawica, odpowiedział Jankowi Franek ognistym spojrzeniem.

I zanim żołdak zdążył bagnetem którego z nich pchnąć, skoczyli na niego obaj jak małe wilki na olbrzymiego kudłatego niedźwiedzia.

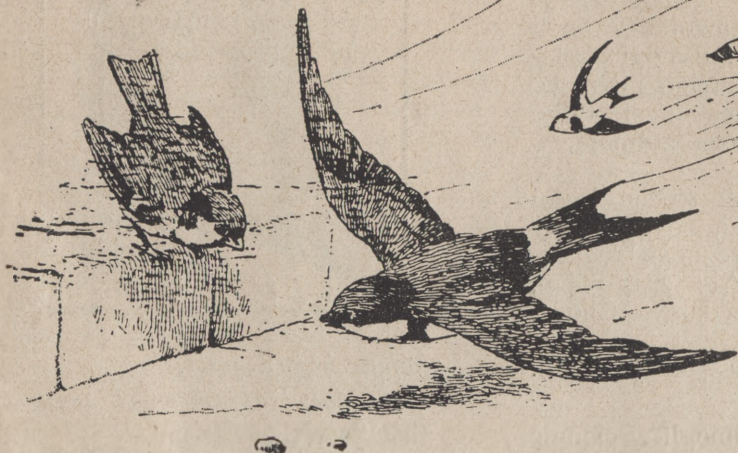
C. d. n.



KAZIUKOWE ŚWIĘTO.

Obrazek sceniczny ze śpiewami
w dwóch odsłonach.

Napisała **MARJA REUTTÓWNA.**



Ciąg dalszy (3).

Józek.

I jeszcze był jeden cud, że jak malarz malował obraz Ś-go Kazimierza, to mu się jakoś nie udało i źle namalował prawą rękę. I starł ją z płótna i wymalował drugi raz już zupełnie dobrze, a potem patrzy, aż i tamta ręka jest, dawajże ścierać i raz i drugi i wszystko napróżno i musiał ją zostawić, i tak pozostał obraz Ś-go Kazimierza z trzema rękami. W dwóch prawych trzyma lilje, a w trzeciej lewej różaniec.

Nauczyciel.

A ty, Kaziu, nic nam o swym patronie nie powiesz.

Kazio

(wyraźnie i śmiało).

Będąc jeszcze małym dzieckiem, Ś-ty Kazimierz, był bardzo dobry, łagodny i posłuszny. Znali go ubodzy, bo ich wyszukiwał i obdarzał. A najwięcej to dbał święty królewicz o chłopców, którzy się z wiosek i miast różnych do Krakowa zbiegali po naukę. Ubodzy byli przeważnie i zwano ich żakami. Nie mieli często grosza, żeby sobie stawy kupić, chodzili więc cd domu do domu z garnuszkami

zamku, przestawał z nimi, jakby z równymi i dzielił się jadłem.

Tadzio.

O jakież on był dobry, szkoda że teraz nie żyje.

Janek.

A tybyś chciał na zamek królewski z garnuszkami pójść?

Wojtek.

Kaziu, opowiedz nam jeszcze coś o Królewiczu (do nauczyciela) Pan pozwoli?

Nauczyciel.

Bardzo proszę, i sam chętnie posłucham.

Kazio.

Miłosierny był królewicz nie tylko dla ludzi ale i dla wszelakiego stworzenia. Sam nigdy żadnemu zwierzęciu, ptakowi lub drobnej muszce krzywdy nie zrobił i drugim tego czynić nie pozwalał.

Stefek.

A czy on takie prawo ustanowił?

Kazio.

Nie, lecz prosił i przestrzegał wszystkich chłopców, by zwierząt nie męczyli,

a ptaków w sidła nie łapali. Razu jednego odkupił od jakiegoś biednego chłopca, ślicznego ptaszka, jakiego nikt, i sam nawet mądry Długosz, nigdy nie widział. Dziwowali się ptaszynie wszyscy, a królewicz, głaszcząc piękną jej główkę, powiedział, że jak mu swego imienia nie powie, to ją do klatki zamknie.

Wszyscy w śmiech, że to przecie tylko ptak, to jakże może swe imię powiedzieć. A ten tymczasem stanął na dłoni królewicza, wyprostował swój ciemno-zielony grzbiet, główkę podniósł do góry, otworzył dzióbek i wyraźnie pisał: „Caj-ka, puść mnie“!

Stefek.

Ach, to chyba był cud!

Józio.

I co dalej, Kaziu, to takie ciekawe.

Kazio.

— „Leć“ zawołał królewicz, ptak rozwinął skrzydła, podniósł się wysoko, raz jeszcze z góry pisał: „Dzięki“ i znikł w obłokach.

Janek.

Co za śliczna opowieść.

Nauczyciel.

Dokończę ją wam. Tejże nocy mały Kazimierz miał dziwny sen. Śniło mu się, że jest ubogim pastuszkim, chodzi po pięknej łące i patrząc na różnobarwne kwiaty, wesołą zieleń traw i czystą wodę w strumieniu, cieszy się pięknnością swej ziemi. Nagle przyszło mu na myśl, że chociaż ten Boży świat taki piękny, to jednak tylu jest ludzi smutnych, biednych i nieszczęśliwych. Ach, myślał królewicz, kędyż jest skarb taki, któryby dał ludziom szczęście. Co też jest najlepszym najpotrzebniejszym dla wszystkich?— Zaledwo pomyślał, aż słyszy z góry wołanie: „Do-broć, do-broć“ — i widzi, że dokoła niego latają takie same ptaki, jak tamta czajka, której w dzień dał wolność. A je-

den z nich usiadł mu na ramieniu i ludzkim głosem do niego przemawia. „Królewiczu Kazimierzu“, mówi „dobryś ty, boś mnie uratował od mąk i śmierci. Bracia moi wysłali mnie do twego kraju, zobaczyć, czy tu nas krzywdzić nikt nie będzie i widzimy, że pod twą opieką żyć możemy w spokoju przez całe lato“. Pogłaskał królewicz cudownego ptaka i tak mu odpowiedział. „Przylatujcie do Polski śmiało, miłe czajki, nikt tu was nie ukrzywdzi. Pamiętajcie zaś, że macie tu do nas przybywać z dalekich krain zawsze w dzień mojej śmierci“.

Zbudził się Kazimierz i sen swój wszystkim opowiadał, ale nikt go nie rozumiał. Przeszło lat kilka i wczesną wiosną, bo w dzień czwartego marca, zmarł kochany przez wszystkich królewicz Kazimierz. W tenże dzień, z za mórz dalekich, przyleciały po raz pierwszy do Polski, nieznane dotąd, śliczne ptaki, wołając głośno „Tuś-my, tuś-my“. I tak co roku, w rocznicę śmierci naszego świętego, wracają z głośnem wołaniem do nas czajki.

Stefek.

Przywiodła je do nas dobroć królewicza.

Nauczyciel.

Zgadłeś, we śnie swym królewicz dowiedział się, że dobroć jest tym skarbem wielkim, który dać może szczęście ludziom. Naśladujmyż naszego opiekuna i patrona. Dobrymi bądźmy jak on, dla ludzi, zwierząt i roślin.

Wszyscy.

Dziękujemy panu za te śliczne opowiadanie, czy to Długosz je opisał?

Nauczyciel.

Nie, tą legendę opisał Jan Kasprówicz, wielki nasz poeta zmarły w 1926 roku.

Ale my tu sobie piękne rzeczy opowiadamy, a szkoła nie przystrojona, wam zaś pewno pilno do domów.

c. d. n.



PSZCZOŁY.

Legenda ludowa.



W czasie wędrówek po tej ziemi doznawał Chrystus Pan od ludzi dobrego i złego przyjęcia. A postępując zawsze według Swojej świętej nauki: „Miłujcie nieprzyjaciół wasze”, przebaczał własne zniewagi i łagodził skutki złych uczynków niegodnych ludzi.

Dnia jednego szedł Pan Jezus ze świętym Piotrem i Pawłem i koło południa zbliżyli się do chaty przydrożnej chcąc prosić o jałmużnę. Niestety, trafili do bardzo złej i przewrotnej kobiety, która zobaczywszy zbliżających się ubogich, wybiegła z krzykiem i przekleństwem na ustach naprzeciw, a nawet podniosła kamień i rzuciła nim w przybyłych.

Kamień zranił świętego Pawła w czoło, a twarz krwią się zboczyła. Więc po-

szli święci mężowie dalej, a święty Paweł w pobliskim potoku obmył twarz i ranę. Dzień był gorący, muchy obsiadały ranę na czole, a ku wieczorowi pokazały się tam nawet maleńkie białe robaczki: zaś święty Paweł skarżył się na ból delegliwy.

Wtedy Chrystus Pan oczyścił ranę na czole świętemu, robaczki wybrał i wsadził je do dziupli drzewa w lesie, przez który właśnie przechodzili. Rana zagoiła się natychmiast i wszyscy poszli dalej w drogę.

Gdy po pewnym czasie przechodził Chrystus z apostołami mimo tego drzewa polecił świętemu Pawłowi zajrzeć do dziupli i zobaczyć, co się stało z robaczkami, które wyjął niegdyś z czoła świętego.

Święty Paweł zdumiony zobaczył tam pełno much, które pracowały pilnie około dziwnej budowy komórek, napędzając je słodyczą zebraną z wonnych kwiatów. Były to pszczoły, które budowały plastry z wosku i zapełniały je miodem.

Tak powstały pszczoły.

KORNEL MAKUSZYŃSKI

* *

Co się stało? Co się dzieje?
Kto woła ratunku, pomocy?
Czy przyszli zbójcy, złodzieje,
Czy pożar wybuchnął w nocy?
O, nie! To wielbłąd garbaty
Porwał lalkę panny Zosi
I czerwone rwie jej szaty,
Chociaż płacze, chociaż prosi.

Zosia w rozpacz, w krzyk i w beki.
Oto lalkę kara spotka,
Że z biednego się kaleki
Naśmiewała mała trzpiotka.
Nie płacz, Żosiu! Dobre zwierzę
Nie uszkodzi twego skarbu,
Lecz pamiętaj — radzę szczerze —
Że nie trzeba śmiać się z garbu.

Z RÓŻNYCH STRON ZIEMI

NAPISAŁ

Dr. DUSZYŃSKI

Dokończenie.

choć niby handel murzynami ustał, to jednak tam, w głębi południowej Afryki i na niektórych wybrzeżach trwa on dotąd.

„Biały” — w pojęciu afrykańskiego dziecka jest tym, czem u was

jest bobak, czarownica, djabeł i wszystko, co może być najgorszego i najpotworniejszego.

Gdy dzieciak murzyński krzyczy lub płacze z głodu, wtedy wystarczy „Cicho, bo cię oddam białym”, albo: cicho bo biały usłyszysz — wtedy dziecko uspakaja się w jednej chwili i nie śmie już pisać.

A doprawdy, że dziecko murzyńskie ma większy powód obawiać się „białych” niż wy strachów lub czarowników, bo strachy i czarownice nie istnieją, a „biali” od czasu do czasu wylądowują na brzegach Afryki i zabierają od mieszkańców kość słoniową, skórę tygrysów, złoto i inne drogie rzeczy, a natomiast dają im rozmaite bezwartościowe przedmioty, jak lusterka, paciorki, tanie, jasne tkaniny, a co najgorsze tytoń i wódkę. Ojcowie wtedy piją, a pijani oddają wszystko co posiadają, a często nawet własne dzieci, które w ten sposób stają się własnością kupującego, czyli niewolnikami.

Gdy chłopak skończy lat dzieśnięć, ojciec przyucza go strzelać z łuku, a często kła-

dzie mu jedzenie na gałęzi drzewa i każe je sobie zestrzelić. Chłopiec zmuszony głodem przyucza się prędko trafiać do celu.

Potem uczy się rzucać oszczepem, co jest także bardzo ważną umiejętnością dla Afrykanina, gdyż strzałą i oszczepem broni się przed napaścią dzikich zwierząt i sąsiadów i sam na nich napada. Ale nauka ta jest wielce przyjemna i nie jeden z was chętnie zamieniłby książkę na łuk i oszczep. Cięższą pracą jest rybołówstwo.

Abym zostać rybakiem chłopak musi się wprzód nauczyć doskonale pływać, bo często fale morskie zatapiają jego malutką z kory drzewnej wyrobioną łódkę zwaną pirogą. Całymi dniami siedzi wyrostek w takiej pirodze, czatuje na ryby, zarzuca wędki, sieci, walczy z wielkimi morskimi rybami wyciąga je — i dobrze jeżeli w takiej walce nie pochwyci go krokodyl lub nie zatopi morska fala.

W tej ciągłej walce z przyrodą, w obliczu straszliwych niebezpieczeństw, chłopiec wyrasta na dzielnego i zaradnego młodzieńca, któremu bieda nieprędko zdoła dokuczyć.

Młodzieniec, który nauczy się celnie strzelać z łuku i rzucać oszczepem, który umie dać sobie radę w wodzie, umie pływać, nurkować, walczyć z łalami, łowić ryby i umykać przed rekinami i krokodylami, przestaje być dzieckiem, tak jak i dziewczyna, która umie uprawiać pole, mleć ziarno i wypiekać placki uważana jest za dorosłą.



ZAWSTYDZONY.



Heniek trzymał w ręku śliczne, rumiane jabłuszko.

— Daj mi pół jabłka — powiedział Stefus — takie ładne jabłuszko musi być bardzo smaczne.

Ale Heniek odpowiedział:

— Mam jabłko dla siebie. Tobie nie dam.

Wtedy Stefek wyjął z kieszeni dwa cukierki, które dostał od mamy i powiedział:

— Mnie mama mówiła, że lepiej smakuje każdy przysmak i każda przyjemność, gdy się je dzieli z innymi. Dlatego dam ci jednego cukierka.

Heniek zawstydził się. Nie śmiał z rąk Stefka wziąć cukierka, choć teraz chętnie dałby za niego pół jabłka. I jabłko nie smakowało mu dzisiaj.

ZABAWA W POLOWANIE.

Dzieci ustawiają się w koło i ciągną losy na Medora i Myśliwego — ostatnim jest „*polowy*“.

Ten ostatni i reszta uczestników zabawy mają wszyscy po dzwoneczku. — Myśliwy i Medor mają oczy zawiązane i dzwoneczków nie mają. Grę zaczyna *polowy* dzwoniąc i wskazując tego, który po nim ma zadzwonić.

Medor stara się pochwycić dzwoniącego. Myśliwy również słuchem się kie-

rując, stara się dotknąć swego psa laseczka, którą ma w ręce. W chwili gdy Myśliwy ma już go dotknąć, polowy wskazuje innego z chłopców, który zaraz zaczyna dzwonić, aby zmylić kierunek tak psa, jak i myśliwego.

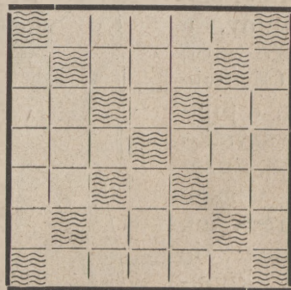
Z chwilą, gdy Myśliwy dotknie psa, — ustępuje miejsce innemu — i idzie do koła. Zastępuje go Medor — którego rolę przyjmuje wyciągający numer trzeci.

Z francuskiego.

Z A G A D K I.

Rozwiązanie z № 2 i 3 umieścimy w następnym numerze „Orlątek“, — kto więc jeszcze nie zdążył ich nadesłać, niech to uczyni jak najszybciej.

Litery w przekątniach, czytane od góry i od dołu, dadzą rozwiązanie. Jakież?



SZARADA KRZYŻYKOWA

Znaczenie wyrazów: 1. gatunek drzewa, 2. sklep z papierosami, 3. urzędnik kolejowy, 4. narząd trawienia, 5. inaczej przyjemny (zdrobniałe), 6. rzeka w Ameryce, 7. gliniany instrument muzyczny.

Pismem kieruje Komitet redakcyjny: Marja Reutt, T. Zubrzycka.

Adres Redakcji i Administracji: Katowice, Wandy 41

Konto czekowe P. K. O. № 303-600.

Warunki prenumeraty „Orlątek“ z przesyłką pocztową: — półrocznie 1 zł. — rocznie 2 zł.

Numer pojedynczy 10 gr.